

Poza Szekspirem i Marlowem wielka dramaturgia elżbietańska jest u nas mało znana. Magia nazwisk tych dwóch pisarzy sprawiła, że wszyscy inni usunięci zostali w cień. Z tym większym więc uznaniem należy powitać fakt wystawienia przez łódzki Teatr Powszechny „Zwodnicy” Thomasa Middletona i Williama Rowley’a. Tak oto przelamana została pewna bariera która teatry postawiły przed sobą. Być może pociągnięte tym przykładem, inne sceny także sięgną po nie-Szekspirowskie dramaty tej epoki.

Gwoźdź prawdziwie trzeba dodać, że szansa na to byłaby znacznie większa gdyby łódzkie przedstawienie zakończyło się pełnym sukcesem. Tak jednak, przynajmniej moim zdaniem, niestety się nie stało. „Zwodnica” w Teatrze Powszechnym ogląda się, z mieszany mi uczuciami. W równym bowiem stopniu intryguje nas sam dramat co i zaskakuje inscenizacja.

Mroczna „Zwodnica”, traktująca — najogólniej rzecz biorąc — o szalonej miłości, wielkiej nienawiści, szaleństwie, o tym, jak zło rodzi zło wystawiona została przez reżysera przedstawienia, Daniela Bargielowskiego ze zbyt dużym dystansem do tych wszelkich namietności. Na scenie nie oglądamy „krwawej tragedii”, lecz jakby jej odbicie w krzywym lustrze, zdecydowanie przerysowanym, sparodjowanym, budzące w niektórych scenach nie zamierzony przez realizatorów śmiech. Wymownym tego przykładem jest „wędrowka” po schodach pary głównych bohaterów podczas miłosnych uniesień.

Nie oznacza to jednak że łódzka „Zwodnica” ogląda się bez zainteresowania. Przeciwnie. Reżyserkie próby odczytania dramatu przyskują naszą uwagę. Przedstawienie jest bardzo teatralne, pełne zaskakujących i oryginalnych rozwiązań. Wszystko to jednak jest interesujące samo w sobie, z osobna. Razem bowiem przytłacza widza i osłabia sama wymowa sztuki. Mówiac najkrócej, na plan pierwszy wysunął się sposób wystawienia



Na łódzkich scenach

„Zwodnicy”, a nie sama „Zwodnica”. Tym samym też budzące emocje i wyjątkowo mocne treści zostały zakamuflowane.

Mimo to warto zobaczyć przedstawienie i to nie tylko ze względu na pierwszą prezentację tego dramatu na polskiej scenie współczesnej, jak i oryginalną, choć chybną w tym wypadku jego inscenizację.

Tym, co w „Zwodnicy” w Teatrze Powszechnym pociąga nas najbardziej, jest gra aktorów. Na słowa uznania zasługuje cały zespół, jednak ze szczególną satysfakcją ogląda się Bronisława Wrocławskiego, który ujawnia tu pełnię swych umiejętności. Jego De Flores — skromny szlachcic zakochany w córce kasztelana Beatrice — jest zarazem skryty i wyrachowany, jak i pełen ognia i namietności. Przygarbiony pieszczący się, skrywałcy, ale także narzucający swą obecność, twarde egzekwujący nagrodę za swe zasługi. Normal-

ny i zarazem szalony w swych namietnościach. Gest, mimika, słowo — wszystko zostało podporządkowane przyjętej koncepcji.

Doskonałą jego partnerką okazała się Ewa Sonnenburg w roli Beatrice, będąca wcieleniem zła i dobra zarazem, pełna miłości i nienawiści, główna ofiara własnej zbrodni. O ile jednak — takie mam wrażenie — Bronisław Wrocławski, mimo że stworzył postać posuniętą aż do groteski, pozostał do końca autentyczny, to w tej wypadku dawało się momentami odczuć ów dystans, przekonanie o tej umowności scenicznych wydarzeń.

Interesującą kreację stworzył także Tadeusz Paradowicz (Alsemero) — pewny siebie, zdobywca.

Charakterystycznych, dobrze zagranych postaci jest w tym przedstawieniu znacznie więcej. Nie wszystkie jednak rysują się w sposób równie wyraźnie. Odnosi się to m. in. do Antonia (w jego rolę oglądamy Macieja Korwina) — młodzieńca,

który wiedziony miłością do żony doktora zarządzającego przytułkiem dla wariatów, decyduje się udawać szaleńca by być bliżej swej wybranki. Wątek ten — przedstawiony skrótkowo, a mający być przeciwwagą dla zasadniczych wydarzeń — nie spełnia, niestety, swego zadania. Tym samym też problem względności tego, co jest normalne i tego, co szalone, umyka nam z pola widzenia. W pamięci pozostają barwne sceny i role Tadeusza Sabary, Andrzeja Fogla, Grażyny Dziegielewskiej, Renaty Frieman-Kryńskiej.

Uwaga ta jest jeszcze jednym potwierdzeniem tezy, że warstwa widowiskowa tego spektaklu przesłoniła jego wartość znaczeniową. Gdyby równowagę tę udało się zachować, łódzkie przedstawienie miałoby szansę stać się teatralnym wydarzeniem. Szkoda, że tak się nie stało. Szkoda, bo wysiłek inscenizacyjny i aktorski był tak duży, iż zastępował na więcej niż możemy zobaczyć.

JULIUSZ CYPERLING

Teatr Powszechny, Thomas Middleton i William Rowley — „Zwodnica”, przekład i adaptacja Krystyna Berwińska, reżyseria — Daniel Bargielowski, scenografia — Barbara Jankowska, Grzegorz Moryciński, muzyka — Bogdan Pawłowski. Obsada: Vermandere — Jerzy Korsztyn, Tomazo de Piracque — Andrzej Łągwa, Alonso de Piracque — Lukasz Pijewski, Alsemero — Tadeusz Paradowicz, Jasperino — Michał Kret, Alibi — Tadeusz Sabara, Lollo — Andrzej Fogel, Antonio — Maciej Korwin, Pedro — Euzebiusz Olszewski, De Flores — Bronisław Wrocławski, Beatrice — Ewa Sonnenburg, Diabanta — Ewa Kogut, Barbara Szczeniak, Izabela — Grażyna Dziegielewska, Renata Frieman-Kryńska — oraz Halina Pawłowicz, Barbara Polomska, Romana Kamińska, Brunon Bukowski, Jerzy Krasuń, Zbigniew Niewczas, Michał Szewczyk. Premiera 4 lutego 1984 r.

Na zdjęciu: Ewa Sonnenburg i Bronisław Wrocławski.